

KOLCE

CZCIONKOTŁOK SATYRYCZNO - KRYTYCZNY

Wychodzi dwa razy w tygodniu: w niedzielę i czwartek.

Nr. 1.

Warszawa, dn. 18 października 1925 r.

Rok 1.

Guliwer wśród Liliputów



Przez szkła podwójne patrze
Na to karzełków mrowie
I strzela mi po głowie,
Że jestem na Sumatrze...
Na sioła i na miasta
Mój cień potężny pada,
Wiec burzy się gromada
I błotem na mnie chlasta.

Ja śpiewam im pieśń jutra,
W tryumfu biję nuty,
A oni... chcą mieć buty.
Koszule, palta, futra...

Ja mówię: będzie lepiej,
Gdy tylko zło przeminie —
A motłoch drze się ninie,
Że biedę z nędzą klepie.

(Odciąć i zachować do oprawy)

Człowiek o miedzianem czole

Niedyskretne zwierzenia
bujającego na wolności zbrodniarza.

Spisał John Wa'son
Przełożył z angielskiego E. Typek.

— Przypadek odkrył panu pieluszkę, pod którą ujrzaleś prawdziwe moje... że tak powiem: oblicze. Masz więc teraz do wyboru: albo zatrzymać rolę wspaniałomyślnego wybawcy i liczyć na moją wdzięczność — co, podkreślam, ma znaczenie bardzo oderwanej kalkulacji, — albo oddać mnie w łapy karzącej sprawiedliwości i zgarnąć judaszowe srebrniki, naznaczone za moją głowę; to ostatnie jednak nie przyjdzie panu zbyt łatwo. Wiem, com wart i drogo sprzedałbym mą wolność i życie.

Przy tych słowach, wyszeptanych chrapliwym sykiem, rozmówcy mojemu zatliły się źrenice wilczą drapieżnością. Lewą ręką nadal podpierał opasły podbródek, ale prawą zatopił w bocznej czeluści palta, gdzie wedle moich przypuszczeń krył się przenośny arsenał niebezpiecznego bandyty. Jeden nieostrożny gest, jeden podejrzany grymas twarzy — a zimne ostrze stałoby przeszyło mi pierś lub gardło. Myślała błyskawicą olśniła moją korę mózgową i nakazała nerwom kamienny spokój.

— Przyjacielu — odparłem głosem, w którym drgała nuta najgłębszej szczerości — za co mnie krzywdzisz potwornym posądzeniem? Poznaliśmy się przed półgodziną w okolicznościach aż nazbyt wy-

jatkowych. Przechodzącego ulicą ująłeś mnie pan pod rękę i, jakkolwiek poraż pierwszy w życiu miałem przyjemność spojrzeć w twe szlachetne oblicze, na pańskie pytanie: „Jak skończyliście wczoraj preferans?” — odparłem bez namysłu: „A wiesz pan — Wiktor przegrał!”, bora w porę dostrzegł powód naszej zażyłości. O pięć kroków za panem snuł się cień detektywa, mając w odwodzie dwóch policjantów. Przytuleni do siebie weszliśmy do klubu, którego jestem długoletnim członkiem i którego progów nie ośmieli się przekroczyć żaden policyjny wyżeł. Usiedliśmy w oddzielnym gabinecie, co chyba najlepiej dowodzi mego zupełnego zaufania do pana. Brak małego palca u prawej dłoni i charakterystyczna brodawka na górnej wardze przypominały mi pański rysopis z listów gończych, a spotkanie na ulicy dopełniło poszlak. Wiedziałem już, kim jesteś i wręcz ci to oznajmiłem. Gdybyś był mniej pochopny w sądzeniu bliźnich, musiałbyś pan raczej upewnić się o mej życzliwości, niżli pomawiać o nieszczerłość. No, czy nie mam racji?

Towarzysz mój potarł czoło, spojrział mi badawczo w oczy, poklepał łagodnie po ramieniu i wyjąkał ze skrucą:

— Wybacz pan. Ale wziąłem pana za porządnego człowieka, a taki — według słów Zoli — zdolny jest do wszystkiego... Niema większego łajdaka nad uczciwego obywatela — powiada on w jednej z swych powieści.

— Więc mi pan zaufasz?

— Najzupełniej. Pan nie wyglądasz na draba, handlującego ludzkim gardłem. Móglbyś być zgoła solidnym bandyta.

Od wydawnictwa

— Nowe pismo?

— Bynajmniej. Dwa pokolenia już zna ją „Kolce“. Wznowione (po dłuższej przerwie na czas wojny) w roku 1921, pozostają pod tą samą redakcją do dnia dzisiejszego. „Kolce“ zatem — to nie jakiś świeżo zaślakany przybysz, lecz stary znajomy, który po dłuższej nieobecności staje z powrotem w kole przyjaciół.

Cała nowość polega na odmienności postaci. Z tygodnika przedzierzgnęły się „Kolce“ w pismo, wychodzące w czwartki i w niedziele; szata ich także różni się od dawnej. Krój dużej ósemki zmieniły na czterostronicowy karnecik; format ten jest dogodniejszy dla dorywczej lektury w czasie przechadzki, w tramwaju czy samochodzie, a także nadaje się wybornie do drukowania (w odcinku) powieści w formacie książkowym. Zebrane przez Czytelników odcinki po ukończeniu druku powieści zostaną przez wydawnictwo „Koleców“ *bezpłatnie oprawione w sztywną okładkę z efektowną winietą*.

Tak więc każdy pilny Czytelnik „Koleców“ po kilku miesiącach *otrzyma wspaniałą premję* w postaci zajmującej książki, a po dłuższym upływie czasu dojdzie do posiadania cennej biblioteczki, nie wydawszy na nią ani grosza.

W numerze niniejszym rozpoczynamy druk sensacyjnej powieści p. t. „Człowiek o miedzianem czole; są to poufne zwierzenia słynnego awanturnika, który po kilkakroć okrzyknął glob ziemski, doznając na lądach i morzach wyjątkowych przygód, kończących się zazwyczaj pościgiem policji — dodajmy odrazu: bezskutecznym.

Powieść ta, osnuta na wydarzeniach prawdziwych, znanych pobiźnie i jednostronnie z opisów prasy całego świata, przykuwa uwagę Czytelnika od samego początku i trzyma ją w rosnącym napięciu aż do ostatniego wiersza. Należy przeto *skrupulatnie zbierać odcinki*, a po ukończeniu powieści doręczyć je naszej administracji, by następnie otrzymać z powrotem *piękną oprawioną książkę bez jakiegokolwiek dopłaty*.

Dla ożywienia kontaktu z Czytelnikami „Kolce“ urządzać będą różne konkursy, wystawiając na próbę domyślność, spryt i dowcip uczestników. Pierwszy konkurs tego rodzaju rozpisujemy dzisiaj.

Stawajcie w szranki, Czytelniczy!

I piszcie do nas pozatem w każdej zycia potrzebie, prócz ściśle poufnych i takich, które godzą w zawartość kieszeni.

LOCARNO.

A niech was gazy ogarna
Z tem plotkowaniem w Locarno!
Dzień każdy inną wieść niesie
I nadal... wciąż... nic nie wie się.

Stąd wniosek jasny jak dziegieć:
Nikt prawdy nie chce powiedzieć
I sami wiemy najwięcej:
Że światem wciąż kręca Niemcy.

Projekt exposé-réplique

do dowolnego użytku.

P. T.

Z osłupieniem wysłuchałem tu uwag, podających w wątpliwość moją i mego zespołu robotę. Dały się nawet słyszeć głosy bezwzględnego potępienia dla tej czy innej dziedziny naszej działalności. Widzę w tem jedynie nadmiar nerwowości, wywołanej perspektywą bliskiego rozwiązania szanownego zgromadzenia. Nie będę przeto odpłacał pięknem za nadobne, lecz pozwolę sobie na podstawie konkretnych faktów wykazać bezzasadność czynionych mi zarzutów.

Najcieńszym z nich jest posądzenie o beczynność, apatię, bierność w chwilach przełomowych. Nic podobnego, panowie! Ruszaliśmy się i to bardzo, i to na każdym polu. Weźmy skarbowość. Operacje czekowe Dr. Kolnika na sumę 1.200.000 dolarów — acz bezpośrednio przyniosły uszczerbek Bankowi gospodarstwa krajowego we Lwowie — pośrednio jednak wysunęły sprawę pożyczki amerykańskiej na czoło zagadnień naszej polityki finansowej zagranicą. Zrozumiano tam, jak pilnie potrzebujemy kredytu, aby podolać inicjatywie naszych genialnych finansistów. Gospodarka tytoniowa w Łodzi świadczy o pomysłowości w poszukiwaniu tanich namiastek gwoździ oszczędności. Dostawy Głabińskiego dla wojska dowodzą niezbieżności naszych szczerze pokojowych nastrojów, a szlachetna duma prezesa P. K. O. p. Lindęgo, który zatrzęsnał drzwiami przed nosem zgola obcesowej kontroli, o czemże innem mówi, jeśli nie o czystości naszych obyczajów! Brudy powinno się prać w domu, a nie wywlekać na widok publiczny. Wykrycie nadużyć w kolejnictwie (Warszawa — Białystok) jest tylko potwierdzeniem powyższego prawdy. Bunt po więzieniach dały aż nadto zajęcia powołanym organom. Praca wypłaca zasiłki bezrobotnym, reforma rolna redukuje geometrów wobec nieagresywności obszarów ziemskich, roboty publiczne czekają tylko, by się uruchomić.

Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam, że było już gorzej i może być jeszcze gorzej, niż jest obecnie. A zatem: skąd te dasy, fochy i utyskiwania?

(Mówca odbiera gratulacje).

WIADOMOŚCI POLITYCZNE czerpane z pierwszego źródła.

Dokładnie jak zwykle poinformowany o zagadnieniach międzynarodowych „Express Poranny“, zamieszcza w numerze piątkowym telegram własny z Locarno, który brzmi w przybliżeniu jak następuje:

Niepokojące zaniepokojenie niespokojnej opinii polskiej, która odczuwa niepokój z powodu rzekomego zagrożenia pokoju, jest niesłuszne i wywołane nie dającymi się uspokoić błędnymi informacjami.

Wyniki tutejszych prac pokojowych, dokonywanych spokojnie, niebawem uspokoją zaniepokojonych.

Skloniłem się nisko w podzięk za ten zaszczytny komplement.

— Widocznie minąłem się z powołaniem — bąknąłem zawstydzony.

— Jeszcze nie zapóźno — pocieszał przygodny partner. — A czem się pan właściwie fatygujesz? — zagadnął po chwili.

— Wyznać hadko. Są zawody, rozumie pan, do których przywarło znamie upośledzenia jak przysychają do pięty różne nadeptane niecenzuralności. Mówiąc krótko: jestem literatem.

Grubas przechylił głowę, kiwając nią znacząco.

— I starczy panu na polewkę?

— Niezawsze. Niekiedy jednak zbywa i na butelkę wina, zwłaszcza gdy się człek znajdzie w dobranej kompanji. Pozwoli pan zadzwonić na garsona?

— Zgoda, lecz pod warunkiem, że ja zamawiam i płacę.

Przystąpiłem, widząc, jak bardzo zależy mu na tem. Chciał mi zaimponować swoim smakoszostwem i zamożnością. Okazał się też istotnie wytwornym znawcą potraw i napojów. Najwyszukańsze dania i najcenniejsze marki zmieniały się kolejno na naszym stoliku. Mój współbiednik jadł i pił z apetytem, nie przebiegając wszakże miary. Starłem się dotrzymywać mu tempa.

Przy czarnej kawie i likierze byliśmy już starymi przyjaciółmi.

— Chciałbym bardzo czemkolwiek okazać panu moją gorącą wdzięczność za oddaną przysługę — rzekł bandyta, ściskając mi dłoń serdecznie.

— Drobnostka, łaskawco, o której nie

warto wspominać. Skoro jednak los spiknął nas do kupy, trudno mi zaprawdę oprzeć się pokusie, jaka owładnęła mną od pierwszej chwili poznania pańskiej znakomitości, ocenionej przez sądy na 10.000 funtów szterlingów...

— ...i 50.000 dolarów, i 100.000 franków, i 80.000 marek i różne sumy lirów, pesetów, drachmi guldenów, koron, lei, reisów, piastrów, dynarów, rubli, jenów, tumanów, rupij, tykali i jak się tam jeszcze wabia znaki obiegowe wszystkich większych państw obu kontynentów. Półtora tuzina krajów i kraików rozpięło za mną listy gończe, nałożywszy razem na moją głowę cenę tak wysoką, że możnaby za nią nabyć książkę latifundja. Lecz o co panu właściwie chodzi?

— Zaciekawia mnie niezmiernie pańskie curriculum vitae...

— Kto mnie rodził, gdzie się wylał, kiedy poraz pierwszy pokochałem kobietę?

— Nie, nie to, chociaż może i to jest zajmujące, nawet bardzo, oczywiście. Ale przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, za jakie to czyny urósł pan tak wysoko w pojęciu urzędów prokuratury i jakim cudem uchodzisz ich zacieklej pogoni?

— Na co się to panu przyda? Prosta babska ciekawość — czy żyłka pismaka?

— Bądźmy nadal szczerzy. Szukam tematu do powieści. Mam trochę wyobraźni, ale uświadamiam sobie, że rzeczywistość taka jak pańska wyprzedza o trzy długości najbujniejszą fantazję.

— Więc chciałbyś pan pisać o mnie? Myśl niegorsza, zwłaszcza gdy sam poddyktuję moje dzieje.

— Dzięki, stokrotnie dzięki!

A REPREZENTACJA — TO PSY?

Jak wiadomo, ministerstwo spraw wewnętrznych pozwoliło sobie na — że się tak wyrażymy — nieuprzejmość w stosunku do magistratu stołecznego miasta Warszawy, zwracając mu do ponownego skomponowania budżet miejski na rok 1925.

Krok ten byłby ostatecznie do wybaczenia ze strony obrażonej municypalności, gdyby chodziło o transpozycję budżetu na wyższe stawki, że jednak sprawa ma się właśnie na wywrót — kamień obraży, wyrzucony z ministerjalnej kuszy, ugodził zbyt boleśnie w serce samorządu, aby jakkolwiek wyrozumiałość mogła znaleźć jeszcze dostęp do radzieckiego sumienia.

To też magistrat przygotował druzgocąco-miażdżące odpowiedzi na zarzuty, postawione władzom miejskim przez ministerstwo spraw wewnętrznych, z powodu improvisacji budżetowej na rok Pański 1925.

Miedzy innymi — jak twierdzą wtajemniczeni — najpotężniejszym gwoździem repliki magistrackiej jest rachunek podróży p.p. prezesa rady i prezydenta miasta z okazji wycieczki do Pragi, Wiednia i Rzymu. Podobno same napiwki, wypłacone za granicą przez przedstawicieli naszego muncipium, wynoszą tyle, co półroczna dziesięcina od wody. A inna reprezentacja?

TOTEK CZY TODTEK.

A czy znasz ty warszawskie wyścigi?
Te z płotami i tamte, bez płotów?
Tam ludziska gadają na migi,
No i... w worku nie kupują kotów.

Człowiek z sportem niecałkiem obyty,
Nasłuchuje szeptów z różnych grupek,
I typuje tylko „faworyty“ —
A tymczasem „fuks“ zdobywa słupek.

Nauczony doświadczeniem snadnie,
Rzeczę mądrze: Już na „fuksa“ strzygę...
Aż tu znowu faworyt wypadnie
I — sto złotych diabli wzięli migiem!

A niechże was jasny piorun trzaśnie
Z wyścigami wszystkich sort i sortek!
Ten, co wygrać żywił zamiar właśnie,
Wraca od was przeważnie bez port... felu.

MYŚLI FILOZOF.

Dobrze jest być bez koszulki,
Gdy... pokazać można kulki;
Lecz los częściej bywa taki,
Że miast kulek widać f...iolkę.

PERSKIE OKO.

Widziałeś pan perskie oko
I... dołek na buzi maleńki?
Podnoszę wszak dość wysoko
I noska, i nóg, i sukienki.

Z powabów tych biją czary
Do duszy, do serca i głowy,
Bo chociaż towar to stary,
Lecz urok wciąż miewa nowy.

OSTATNIA DESKA RATUNKU
zdarzenie prawdziwe.

O schludność łoża swego
nagłym strachem zdjęty,
Z pieleszy wczesnym rankiem
zerwał się Walenty
I — w pilnej tej a nawet
niemiłej potrzebie
Skwapliwie zaczął szukać
ratunku dla siebie.
Obłędnym tocząc wzrokiem
po ścianach izdebki,
Czemprędzej drżące stopy
wbija w stare trepki
I chwytając dwu palcami
numer „Exprosiaka“,
By... zacząć, nim się skończy
cierpliwość wszelaka.
Tak zbrojny i gotowy
za drzwi się wymyka.
Aż tu, ze snu zbudzona,
pyta magnifika:
— Jakież-to budzą znowu twój
„czerwoniak“ mieści,
Że nie śpisz?
Na to Walek:
— Do-kła-dam mu tre-ści.

KREW NA CZERNIAKOWIE.

Jedno z najpoczytniejszych pism codziennych warszawskich miało onegdaj zamieścić następującą sensację pod powyższym wstrząsającym tytułem:

Nasz sprawozdawca specjalny wyszedł wczoraj podwieczór specjalnie usposobiony. Mianowicie wszystkie członki ciążyły mu ku dołowi (nie: ku górze! — proszę zapamiętać! Przyp. Kolców.) Nagle na zakręcie nasz sprawozdawca zauważył ciemne plamy na bruku. W pierwszej chwili pomyślał, że sam jest ich sprawcą — w roz-targnieniu, oczywiście. Ale przypomniał sobie, że w dniu tym wina czerwonego ani też barszczu buraczanego nie... przyjmował.
— Krew! — ryknęło mu w duszy.

I poszedł za piętnami domniemanej zbrodni. Ślady plam zaprowadziły go aż do suteren domu pod Nr. 358 przy ul. Czerniakowskiej.

— Skąd ta krew? — zagadnął stróżowej.

— Pańska rzecz!? — warknęła oburzoną — a odkąd to już meldują nawet perjo-dyczne okazje?

(Gotowy artykuł zdjęto z maszyny z powodu nawału materiału.)

ROZMOWA TELEFONICZNA
podsluchana z jednego końca.

— Stały i twardy. Niech mu ość tak w gardle stanie. A że twardy — to twardy, sam djabł nie ugryzie.

— Dosyć na eksperymenty, niech go siarczyste pioruny!

— Kto po nim? Pierwszy gorszy, byle tylko nie inny wesolek z sąsiedztwa Baładyny.

— Nie zasłużyłem na nie. Chęć przysłużenia się panu jest tu na drugim, a nawet na trzecim planie. Żądza zemsty nad wiarołomnymi przyjaciółmi i przekora, grająca na nosie całej sfory stupajków żandarmskich — oto właściwe bodźce, które skłaniają mnie do naśladowania Jana Jakuba Rousseau. Poczynię panu zwierzenia, w których nie oszczędzę ani siebie, ani drugich. I z tem tylko zastrzeżeniem przystępuję do mych wyznań, że panu w niczem zmienić ich nie wolno.

— Ależ cóż znowu! — zaprotestowałem — czyżbym się ważył wypaczać pańskie intencje.

— W takim razie zaczynamy... Ach, o jednym jeszcze zapomniałem: nie wolno panu wymieniać mego nazwiska, ani żadnego z moich pseudonimów. Jeśli dobrze władasz piórem, to potrafisz ominąć wytykanie palcem mojej skromnej osoby. Po prostu: dzieje się to i tamto, w wydarzeniu bierze udział szereg figur, a która z nich do mnie należy — diabła komu do tego!

— Stanie się wedle życzenia.

Stepanida Naumowna miała w kołcu dosyć. Włoczona w miękką murawę, wyczuwała dotkliwie chłód wieczornej rosy. Przy pierwszym poruszeniu doznała wrażenia, jakgdyby ją zdjęto z koła inkwizycji. Bolały ją wiazadła stawów, odrętwiały mięśnie. Z trudem dźwignęła się do siedzącej pozycji.

— Ach, lotry! — jęknęła głucho — szczęściu... kolejno... przez pełne dwie godziny. Anim się spostrzegła, jak cisnęli o ziemię.

Zgrabiłami palcami zgarniała rozpuszczone fale długich, złocistych swych włosów, zapinała hańki, otulała szatki. Wreszcie ostatkiem sił stanęła na równe nogi.

— Opryszki! Bydlęta! Świnie! — padały z jej ust raz poraz dosadne określenia pod adresem nieobecnych i nie wiadomych z osoby ni miejsca pobytu napaśników.

Szła wolno, chwiejąc się jak trzcina na wietrze. Do domu miała niedaleko. Jenó okraży cerkiew, przetnie na ukos majdan, a tuż po drugiej stronie ulicy plebanja. Stepanida Naumowna jest żoną popa — zowią ją „matuszka“, choć liczy ledwo lat 20 i podobną jest raczej do rozkosznego dzieciaka niż do dojrzałej niewiasty. Smukła i gibka, niebieskooka, czarnobrewa i złotowłosa, z rozkosznymi dołeczkami na policzkach i brodzie, popadła od pierwszej chwili „objęcia parafii“ stała się przedmiotem westchnień i pożądań miejscowej i okolicznej donżuanerii. Jej mąż, „batiuszka“ Wasili, wafły człowieczy wiechetek o rudych, rzadkich kędziarach i długiej, skąpej bródce, mało przypominał Apollina, za to gorąco kochał i zazdrośnie strzegł wdzięków umiłowanej Stioptki.

Udawało mu się to dotychczas od pół biedy, aż tu naraz taka sromotna przygoda!

Matuszkę, powracającą samotnie z wieczornej przechadzki, w ustronnym miejscu opadło sześciu zuchwalców i każdy z nich po kilkakroć wychylił czarę miłości. Przerażona napaścią nie broniła się wcale i nie wzywała pomocy. Teraz sama nie wie, jak się to stać mogło i rozważa w myślach: powiedzieć czy nie mężowi.

UCIEKAJĄCE LATO



O, słodkie spomnienie lata!
Serce się kurczy i zżyma,
Gdy wizja twoja odlata
A w ślad jej nadciąga zima.

Idą już przodem jej gońce,
Mroźne, zaciekle podmuchy.
We mgły spowija się słońce...
Pod stopą chrzęści liść suchy.

JASNOWIDZ Z MAŁEJ ZIEMIAŃSKIEJ.

— Cos takiego, ten Ossowiecki! Jak on widzi, jak on patrzy!

— To co takiego zobaczył?

— Jakto! Nie czytałeś? — Dostał list z Hiszpanji od Dr. Bubo i przez kopertę przeczytał wszystko akuratanie.

— Wielkie rzeczy!?

— Ty drwisz, a ja mówię poważnie.

— Ja kpię? Ani myślę. Tylko znam ostrzejszych jasnowidzów. Dajmy na to... ja sam.

— Tyyy?

— No właśnie. Przysięgam ci, że kiedy do mnie przychodzi człowiek z portfelem, to ja wiem, co w nim się czai.

— Czyżby?

— Pod chajrem: protesty wekslowe.

Komu doła Bohaterów narodowych nie jest obojętną, ten skorzysta z nadarzającej się sposobności i kupi los

Loterji Fantowej Stowarzyszenia Weteranów 1863 r.

Gena losu 3 zł. Wygranych 8.000 fantów Ciągnięcie 25 listopada 1925 r.

Zakład
reparacyjno krawiecki
J. Gójskiego
Wspólna 26
Wykonanie dokładne.
Ceny umiarkowane.

SKLEP GALANTERYJNY
F. Chmielewskiego
PRUSZKÓW,
ul. Kościelna № 7.

Fabryka trykotaży
Seweryna Cunga
Mokotów,
ul. Narbuta № 4.

?

KONKURS № 1.

Które z pism codziennych stolicy wyda-
je mi się najgłupszem i dlaczego?

Odpowiedzi nadsyłać do 28 paździer-
nika b. r. na poniższych blankietach:

Wyciągi	Tytuł pisma	
	Dostrzeżone braki	
	Adres wysyłającego	

Nadesłane kartki poddane zostaną lo-
sowaniu i pierwsza wyciągnięta z urny
otrzyma nagrodę 100 złotych.

Wynik plebiscytu i głosowania zostanie
ogłoszony w numerze niedzielnym „Kol-
ców“, z dnia 1 listopada 1925 r.



Cena ogłoszeń: 16 gr. za wiersz milimetr.

Adres Redakcji i Administracji:
Ordynacka 3, telefon 302-04.

Redaktor przyjmuje we wtorki i czwartki
od 6 — 7 w.

Redaktor Tadeusz Jan Żmudziński.

Wydawcy:

Tad. Jan Żmudziński i Apolinary Janowski.

Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3.

Już widzi białe wrota. Tam, poza niemi czeka niecierpliwie on. Spotka ją wyrzuta-
mi jak zwykle, ale po raz pierwszy będzie
miał, niestety, słusność, nie w szczegółach,
lecz w zasadzie... Bo Waśka od zarania
ich pożycia prześladował ją swoją za-
zdrością.

— Ty krasawica — razkrasawica, a ja...
urod, brzydka, ułomek! Nie dziś — to jutro,
nie z tym — to z innym złamiesz ślubowa-
nie wierności małżeńskiej. Nie przecz, bo
tak będzie, tak być musi.

Ile łez gorzkich przelała z tego powo-
du! Jakże często bliska była rozpacz,
graniczącej z obłędem! Czula się czystą
i bezwinną, dla męża miała dużo... dużo
sympatii i współczucia. Czy go jednak ko-
chała? No, tak... chyba kochała, jak siostra
kocha brata, młodszego, małego braciszka.

Ale męża nie widziała w nim nigdy.
Wydano ją zamaż, co prawda, nie wbrew
jej woli, ale też i nie wedle jej wyboru.
Rodzeństwa w domu było ośmioro —
jeden syn i siedem córek. Stiopka była naj-
starsza. Należało ulżyć rodzicom. Została
„matuszką“.

Przezuwając poraż nie wiadomo który
te tragiczne przesłanki swego życia, Ste-
panida Naumowna dobiwała do celu.
Krok jej wolniał coraz bardziej, jakby
u nóg zwisały ołowiane ciężary. Skrzyp
otwieranych wrót podział na nią jak za-
cięcie bicia na rasowego konia. Zachnęła
się niby zagnała ocknięta ze snu.

— Kto otworzył wrota? — spytała na
głos, nie widząc nikogo przy zaworze.

Głucha cisza zaległa obszerny dziedzi-
niec; wytrzeszczały nań ślepią wnęki nie-
oświetlonych okien.

— Co się ze mną dzieje?! — krzyknęła
nawpół żywa od silnych wzruszeń kobieta.

Wtem szybkie kroki dały się słyszeć
poza nią. Z mazistej toni bezkسیężycowej
i bezgwiazdnej nocy wychyliły się dwa cie-
nie. Jeden mały, nikły, podobny do odwró-
conego korkociąga — drugi wydłużony
i bomblasty, ni to kufa, postawiona sztor-
cem.

W tym mniejszym Stiopka poznała swe-
go męża.

— Waśka, to ty?

— Stiopka! — zapał on dyszkantem
i rzucił się jej na szyję.

Oboje zalali się łzami.

Przez parę chwil słyhać było ich płacz
tłumiący.

— Waśka mój!

— Stiopka! Stiopka! Och, och, och!

— Czegóż ty płaczesz? — spytała go
pierwsza.

— Bo wiem... bo wiem o wszystkim.

— Któż ci oznajmił to nieszczęście?

— Pan doktor Bezborodko, który tu
obok stoi. On powiadomił mnie o zbrodni,
której ofiarą padłaś. Przechodził obok,
słyszał twoje wołanie o ratunek. Niestety,
napastnicy zbiegli, zanim zdołał ich dopaść.
Potem... pośpieszył do mnie. Szukaliśmy
cię we dwóch. Stiopka, Stiopka!

I znowu wybuchnął spazmatycznym
płaczem.

— Jednemu z nich odgryzłam palec —
rzekła mu na pociechę.

— Och, lotrzy! — ozwał się basowy
głos doktora — rozrywałbym ich żywcem.

I potarł zapalną, aby zapalić papierosa.
Przy małym, chybliwym świetle Stiopka
dostrzegła na prawej ręce doktora zakrwa-

5610
5051